

Janusz Wrona, Andrzej Paczkowski, Paweł Machcewicz, Andrzej Friszke, Jerzy Eisler

PKWN : próba oceny

Pamięć i Sprawiedliwość 4/2 (8), 13-30

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PKWN – próba oceny

22 lipca 2004 r. w czasie konferencji naukowej w Chełmie odbył się panel dyskusyjny na temat oceny PKWN z udziałem historyków: prof. dr. hab. Janusza Wróny, prof. dr. hab. Andrzeja Paczkowskiego, prof. dr. hab. Andrzeja Friszke, prof. dr. hab. Jerzego Eislera. Dyskusję prowadził dr hab. Paweł Machcewicz.

Paweł Machcewicz: Mamy dyskutować na temat oceny Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Udało nam się zgromadzić przy tym stole bardzo wybitnych badaczy PRL. Oprócz tego znakomitego grona do udziału w naszym panelu zaprosiliśmy także Pana prof. Andrzeja Werblana. Myślę, że jest ważne, żebyśmy spotykali się w bardziej pluralistycznym gronie, dyskusja staje się wtedy jeszcze ciekawsza. Niestety, prof. Werblan ze względu na stan zdrowia nie mógł dotrzeć na dzisiejszą konferencję, ale na ręce dr. Rafała Wnuka, naczelnika Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Lublinie, przysłał list, w którym pisze: „Dziękuję za zaproszenie na konferencję, przykro mi, ale nie będę w stanie wybrać się do Chełma, bardzo mnie to pociągało, ale niestety przeliczyłem się z moimi siłami i zdrowotnymi możliwościami, wiek ma swoje prawa, muszę poddać się pewnej kuracji, a w konsekwencji zrezygnować w lipcu z obciążeń, zwłaszcza wyjazdów. Bardzo przepraszam za kłopot organizacyjny i ewentualny zawód, ale to niestety siła wyższa”. Chcę natomiast powiedzieć, że prof. Werblan w ostatnim numerze tygodnika „Przegląd” opublikował artykuł o PKWN¹, który może być wprowadzeniem do naszej dyskusji, ja zresztą nawiążę do tego tekstu.

Chciałbym prosić uczestników panelu o odniesienie się do trzech kwestii w ocenie PKWN. Po pierwsze, można zarysować dwa skrajnie odmienne spojrzenia na jego rolę w historii Polski. Jedno to takie, że gdyby nie grupa komunistycznych kolaborantów, którzy utworzyli PKWN, to Związek Radziecki nie znalazłby pomocników w dziele sowietyzacji. W Polsce nie ustanowiono by systemu komunistycznego, a realną perspektywą byłaby finlandyzacja, czyli model zakładający przynależność do sowieckiej strefy wpływów w polityce zagranicznej, ale z zachowaniem instytucji demokratycznych w życiu wewnętrznym. W trakcie dyskusji na temat książki prof. Krystyny Kersten *Narodziny systemu władzy*² taką tezę sformułował bardzo wyraźnie Piotr Skwieciński w recenzji opublikowanej w „Res Publice” w 1989 r.³

Drugie spojrzenie jest krańcowo różne: PKWN i działalność polskich komunistów uratowały ograniczoną, ale jednak realną autonomię Polski w ramach bloku komunistycznego. Alternatywą byłoby wcielenie Polski do Związku

¹ A. Werblan, *Alternatywa dla Londynu i... Moskwy*, „Przegląd” 2004, nr 30.

² K. Kersten, *Narodziny systemu władzy. Polska 1943–1948*, Warszawa 1984.

³ P. Skwieciński, *Nikt nie miał racji?...*, „Res Publica” 1989, nr 6, s. 122–123.

Radzieckiego jako kolejnej republiki (dużo brutalniejszy terror, wywózki jak w krajach bałtyckich). Takie poglądy prezentuje np. prof. Andrzej Werblan. W przywoływanym przeze mnie tekście pisze, że „alternatywy rysowały się gorzej lub zupełnie źle, bezpośrednia radziecka administracja ziem polskich lub zarząd czysto powierniczy, ewentualnie nawet los republik nadbałtyckich”⁴. Profesor Werblan stawia jeszcze tezę, że w ciągu 1944 i na początku 1945 r. zmieniło się stanowisko Józefa Stalina wobec zachodniej granicy Polski, i gdyby nie PKWN, to prawdopodobnie Stalin nie zgodziłby się ostatecznie na tak korzystny przebieg polskiej granicy zachodniej obejmującej np. Szczecin. Takie poglądy są formułowane najczęściej przez osoby wywodzące się ze środowisk dawnego systemu, ale ku mojemu zaskoczeniu niedawno w drugoobiegowym „Zapisie” z 1980 r. natknąłem się na artykuł Lecha Bądkowskiego. Polemizował on z poetą Jackiem Bierezinem, który w 1979 r. opublikował w paryskiej „Kulturze” tekst zaczynający się od słów: „Urodziłem się w czasach okupacji w roku 1947”⁵. Bądkowski w „Zapisie” odpowiadał, że Polska dzięki polskim komunistom nie utraciła jednak państwowości: „naród polski nie jest poddany kolonizacji etnicznej, jak to się dzieje w państwach bałtyckich, nie bierze też udziału w tworzeniu narodu radzieckiego [...]. Zachowywanie pozorów państwa suwerennego przynosi poważne korzyści, które należy w pełni wyzyskać”⁶.

Druuga kwestia to pytanie o spuściznę PKWN w sensie nieodwracalnych – jak się wydaje – rozwiązań społeczno-gospodarczych, które czy tego chcemy, czy nie, obecne są do dzisiaj. Chodziło np. o reformę rolną, która niezależnie od sposobu jej realizacji, jej skrajności nadal stanowi zasadniczy fundamentalny element porządku prawnego i społeczno-gospodarczego III Rzeczypospolitej.

Trzecie zagadnienie dotyczy pewnych regulacji prawnych, które do dziś są podstawą funkcjonowania polskich instytucji, także – jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało – Instytutu Pamięci Narodowej. Chciałbym zwrócić uwagę, że dekret z 31 sierpnia 1944 r. „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy” był oczywiście stosowany do ścigania i represjonowania żołnierzy Armii Krajowej i podziemia niepodległościowego, ale na podstawie tego samego dekretu osądzono także tysiące rzeczywistych zbrodniarzy niemieckich oraz kolaborantów. Niedawne śledztwo – chyba najgłośniejsze śledztwo III Rzeczypospolitej – dotyczące mordu w Jedwabnem było prowadzone właśnie na podstawie dekretu sierpniowego. Jest to niewątpliwie pewien paradoks.

Janusz Wrona: Pragnę odnieść się do pierwszej kwestii, mianowicie w jakim stopniu PKWN odegrał rolę swoistej piątej kolumny, czyli w jakim stopniu mieliśmy polskich „quislingów” lub kolaborantów. Czy gdyby nie oni, byłaby szansa na jakąś alternatywną drogę rozwoju Polski? Ja osobiście uważam, że tutaj niewiele by się zmieniło, nawet gdyby nie znaleziono (co oczywiście jest problemem tyl-

⁴ A. Werblan, *Alternatywa dla Londynu...*

⁵ J. Bierezin, *Autobiografia*, „Kultura” 1979, nr 1/2, s. 161. Cyt. za: A. Krajewski, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL (1975–1980)*, Warszawa 2004, s. 223.

⁶ Lech Bądkowski, *Twarzą do przyszłości*, „Zapis” 1980, nr 13; por. A. Krajewski, *Między współpracą...*, s. 223.

ko teoretycznym) „kontrahentów”. Można przyjąć wariant, że dogadano by się z częścią obozu rządu londyńskiego (mówiła o tym Pani prof. Albina Noskova). Gdyby Stanisław Mikołajczyk pojawił się wcześniej, to przy takim starannym przygotowaniu procesu przejmowania władzy w Polsce przez Stalina i kontroli nad tym procesem przez ZSRR, zostałby on całkowicie politycznie ubezwłasnowolniony. W zasadzie to, co się stało w Polsce między 1945 a 1947 r., było nieuniknione w kontekście rozwoju sytuacji międzynarodowej. To znaczy w tamtym układzie geopolitycznym żadna wewnętrzna siła polityczna ani społeczna nie była w stanie zmienić pewnych postanowień, dyrektyw i założeń polityki radzieckiej. Staliśmy się tutaj częścią pewnego globalnego układu związanego z tym, że Związek Radziecki wychodził z II wojny światowej jako największe i najsilniejsze mocarstwo europejskie. Winston Churchill zwracał uwagę na to, że hegemonię Adolfa Hitlera zastąpiła hegemonia Moskwy, że załamała się fundamentalna zasada porządku europejskiego, czyli równowaga sił. Z historycznego punktu widzenia nie ma większego znaczenia, jakiej ekipie Stalin powierzył rządy w Polsce. Najważniejszym instrumentem w ręku Stalina byli komuniści. Gdyby członkami PKWVN nie zgodziły się zostać także osoby pochodzące z okupowanego kraju, to nic nie stałoby na przeszkodzie, by ZSRR stworzył ekipę władzy w pełni sformowaną z ludzi, którzy przebywali w Związku Radzieckim. Wariant mieszany, tj. udziału w PKWVN tzw. krajowców, po prostu lepiej sprzedawał się propagandowo. I jedni, i drudzy byli marionetkami w ręku Moskwy, z czego zdawali sobie sprawę, choć oczywiście nie uznawali takiego nazewnictwa.

Natomiast jeżeli chodzi o dorobek PKWVN, uznaję go o tyle, iż na serio traktuję fakt, że PKWVN stanowił kamień węgielny dla formacji nazywanej przez nas Polską Ludową czy PRL (nazwa formalnie od 1952 r.). Tu stworzono pewne podstawy funkcjonowania systemu państwa totalitarnego, co szczególnie uwidoczniło się po zwrocie październikowym 1944 r. i, co istotne, tu przetestowano funkcjonowanie poszczególnych instrumentów rządzenia. Okazało się, że siła i represja (głównie sowieckiego aparatu) jest na tyle skuteczna, że *de facto* rozbito, obezwładniono Polskie Państwo Podziemne. To jest pierwszy historycznie ważny aspekt, gdyż zdruzgotano struktury alternatywnej władzy. Drugi bardzo istotny dla mnie aspekt to efekt psychologiczny i społeczny. Pamiętajmy, że wszystkie działania ludzi – indywidualne i zbiorowe – podejmowane były w ramach przenikania się instytucji budowanych pod szyldem PKWVN i funkcjonującego jeszcze państwa podziemnego. W źródłach z tego okresu widać, że początkowo Polacy traktowali PKWVN jako instytucję przejściową. Na skutek ujawnienia siły Armii Czerwonej, jej organów bezpieczeństwa, a także rozbitcia struktur Polskiego Państwa Podziemnego zmieniły się nastroje. Ludzie zaczęli traktować wejście Armii Czerwonej i to, co się działo, jako rzecz trwałą, która będzie rzutowała na ich losy przez dłuższy czas. Taka konstatacja musi rodzić w społeczeństwie postawy przystosowania. Pojawiają się one już w okresie lubelskim PKWVN. Paradoksalnie czas działał na korzyść PKWVN zarówno na forum wewnętrznym, jak i zewnętrznym. Wiemy to z analiz dyplomatycznych, głównie korespondencji Winstona Churchilla, Franklina D. Roosevelta i Józefa Stalina. Alianci zachodni bez większego sprzeciwu zaakceptowali fakty dokonane w Polsce. Pogłębiło to swoistą traumę społeczną Polaków, która pojawiła się po klęsce powstania warszawskiego. Wywołało ono społeczny wstrząs. Dla wielu stało się

symbolem nieskuteczności działań Zachodu i braku woli wspierania polskich dążeń niepodległościowych. Krytycznie oceniano również polskie elity w Londynie i w kraju (państwa podziemnego), które nie potrafiły wyprowadzić Polski z trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się u schyłku II wojny światowej. Wiele osób traktowało rzeczywistość po wejściu na ziemie polskie Armii Czerwonej jako kolejną okupację.

Następnym problemem to kwestia, jak dalece jeszcze funkcjonują regulacje prawne PKWN. Najbardziej znaczący jest dekret wrześniowy PKWN o reformie rolnej, bo przecież do dzisiaj pozostaje jedną z podstaw kształtowania ustroju rolnego. Jego ważność potwierdziły orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego. Mamy do czynienia z sytuacją, w której sądy rozpatrują roszczenia osób, szczególnie dotyczące składników trwałych majątków zabranych w wyniku reformy rolnej, a których dekret formalnie nie dotyczył (dwory, pałace, parki, browary, tartaki, młyny). Rzecz odnosi się też do różnych składników mienia ruchomego (dzieła sztuki, księgozbiory). Wiemy to jako historycy, że w jakiejś mierze prawodawstwo z okresu PKWN rzutowało na postrzeganie prawa, a szczególnie na budowanie relacji pomiędzy totalitarnym państwem a społeczeństwem, przez cały okres funkcjonowania PRL. Przywołam osobistą refleksję, która wiąże się z moim doświadczeniem badawczym. Mianowicie kiedy w 1982 r. wszedłem do archiwum i przeglądałem materiały PKWN (były to czasy stanu wojennego, a ja miałem wtedy 30 lat), czytałem różne sprawozdania i opinie z tamtego okresu, a zarazem miałem podobną rzeczywistość za oknem archiwum. Widziałem żywe analogie między wydarzeniami sprzed 30 lat a tym, co się działo w Polsce po wprowadzeniu stanu wojennego. Niewątpliwie piętno PKWN odcisnęło się bardzo mocno. Wpływało ono nie tylko na układ władzy, ale także – co chcę podkreślić – na świadomość funkcjonowania tej władzy i świadomość polskiego społeczeństwa.

Andrzej Paczkowski: Jeżeli chodzi o pierwsze pytanie, to funkcjonujemy w obszarze historii alternatywnej, czyli szukamy czysto intelektualnych rozwiązań. Samo w sobie jest to bardzo interesujące i w pewnym sensie wspomaga także historiografię, choć należy zastrzec, że o ile, nawet uprawiając „normalną” historię, nieuchronnie upraszczamy przeszłość, o tyle krążenie po obszarach historii kontrfaktycznej, tej, która nie miała miejsca, groźbę uproszczeń niezwykle wzmacnia.

Czy były alternatywy wobec PKWN? Nie uważam za słuszną tezę, że gdyby nie PKWN i Polska Lubelska, to powstałaby siedemnasta republika. W żadnych ogłoszonych do tej pory dokumentach sowieckich nie ma najmniejszych śladów, ażeby w Moskwie planowano wcielenie któregośkolwiek z państw Europy Środkowo-Wschodniej do Związku Radzieckiego. Pozbawiono je pewnej części terytoriów – przypomnę, że nie tylko Polsce amputowano Kresy Wschodnie, ale także Rumunii Besarabię i Bukowinę, Czechosłowacji Ruś Zakarpacką, Finlandii część Karelii oraz region koło Petsamo (najbardziej na północ wysunięty region Finlandii) – nie miało to jednak nic wspólnego z tworzeniem nowych republik sowieckich. Republika Karelo-Fińska powstała jeszcze w 1939 r., aby były „prawne” podstawy do aneksji całego kraju, z czego jednak zrezygnowano. Teoria, że gdyby nie powstał PKWN czy szerzej Polska zdominowana przez komunistów, to kraj zostałby wcielony do Związku Radzieckiego, wydaje mi się stwierdzeniem propagandowym. Warto przypomnieć, że w latach 1944–1945 inne

kraje, które później stały się krajami komunistycznymi, weszły w swoistą fazę przejściową. Pozostawiono w nich – jakby na przynętę (nie tylko dla mocarstw anglosaskich, ale też na użytek wewnętrzny tych państw) – niektóre instytucje ancien régime'u: Rumunia do 1947 r. była królestwem, a w Bułgarii do 1946 r. formalną głową państwa był car. W strategicznych planach Stalina mieściło się wykorzystanie istniejących struktur władzy do przejmowania kontroli nad krajem. W przypadku Polski problem polegał na tym, że nie zgłosiły się żadne tradycyjne i sprawujące władzę w legalnych instytucjach państwowych siły polityczne, które chciałyby taką rolę odegrać. Można tu podać przykład Czechosłowacji: Edvard Beneš zdecydował się (już w końcu 1943 r.) na porozumienie ze Stalinem i dzięki temu Czechosłowacja przez kilka lat była krajem demokratycznym, może nie w stu procentach, ale jednak. Dopiero w 1948 r. dokonano przewrotu. Prędzej czy później każdy z tych krajów musiał wstąpić na drogę ku komunizacji czy sowietyzacji. Uważam, że gdyby Stanisław Mikołajczyk podczas pobytu w Moskwie na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. zgodził się na postulaty Stalina, to mógłby polecieć z Moskwy nie do Londynu, ale do Lublina, i zamiast Edwarda Osóbki-Morawskiego stanąłby na czele PKWVN czy też już wówczas Rządu Tymczasowego. Wszystko jest możliwe, ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, iż polscy komuniści – od Władysława Gomułka i Mieczysława Moczara, przez Aleksandra Zawadzkiego i Stanisława Radkiewicza, po Bolesława Bieruta i Franciszka Józwiaka – odmawiają Stalinowi, który proponuje im, aby wzięli udział w tworzeniu Polskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Może moja wyobraźnia jest zbyt uboga? Tak więc to raczej Stalin „uratował” Polskę przed losem Litwy albo Łotwy niż Gomułka i Bierut.

Następna kwestia bezpośrednio wiąże się z poprzednią. Chciałbym przy tej okazji pójść może nawet jeszcze dalej i postawić hipotezę, iż dzieje mogły się potoczyć tak, że Gomułka zostałby sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), a Bierut przewodniczącym Rady Najwyższej PSRR. Przypominam, że operujemy na obszarze hipotez, dlatego mam nadzieję, że nie zostaną opacznie zrozumiane. Czy gdyby nie PKWVN albo ogólnie gdyby nie fakt, że komuniści byli w Polsce najpierw siłą dominującą, a potem hegemonistyczną, Polsce przyznano by tak dużo ziem ponemieckich, jak się ostatecznie (dopiero w Poczdamie) stało? Postawiłbym takie, w pewnym sensie przewrotne, pytanie generalne: czy duży kraj będzie zawsze lepszy, szczęśliwszy niż mały? Znany jest ten argument – wysuwany czasami w podtekście, czasami między wierszami w latach 1944–1945 czy w 1946 r., a później już wielokrotnie (po dziś dzień) i często jawnie – że gdyby nie PKWVN i polscy komuniści, mielibyśmy „Księstwo Warszawskie”. Granicę wschodnią wzdłuż linii – nazwijmy ją w uproszczeniu – Curzona lub, jak ktoś woli, linii 28 września 1939 r., granicę zachodnią zaś wedle stanu z 1939 r. z drobnymi modyfikacjami, takimi jak wejście w skład Polski Śląska Opolskiego, małej części Pomorza Środkowego i części Prus Wschodnich.

Bardzo jesteśmy przyzwyczajeni do granic, jakie dziś mamy, do wizji Polski, która stała się nowoczesna, silna, prężna, ludna itd. dzięki temu, że obejmuje ziemię po Odrę i Nysę Łużycką. Postawmy jednak pytanie: czy każdy kraj musi być duży pod względem obszaru? Holandia nie jest duża, ale jakoś Holendrzy są z tego zadowoleni i nieźle im się żyje. Podobnie Szwajcaria i Szwajcarzy. Za tym

pytaniem idzie drugie: czy gdyby te półtora, dwa miliony Polaków przesiedlonych z ziem ostatecznie inkorporowanych do Związku Radzieckiego w 1945 r. nie zostały rozproszone od Szczecina przez Zieloną Górę, Wrocław, Worek Turoszowski po Wałbrzych i Kłodzko oraz od Koszalina po Kołobrzeg, ale zasiedliły centralną Polskę, Wielkopolskę, Pomorze, Śląsk Opolski, Mazury (oczywiście bez Niemców), to Polska tak wiele by straciła? Niemcy zostały poważnie okrojone na wschodzie i nie dostały żadnych rekompensat terytorialnych na zachodzie (co było słuszną karą za zbrodnie i panoszenie się), Republika Federalna Niemiec była więc swego rodzaju „Księstwem Bońskim”, które przyjęło na swój obszar wiele milionów przesiedleńców. Zupełnie nieźle się oni zaadaptowali, zostali zaakceptowani, weszli w obieg społeczny, gospodarczy itd. Polska jest w Szczecinie i w Turoszowie, w Elku i w Kołobrzegu. Bardzo to sobie cenię, mam rodzinę w paru różnych regionach ziem pozyskanych, lubię żeglować po Śniardwach i zjeżdżać karkonoską „Lollobrygidą”, aula Leopoldinum jest jedną z najpiękniejszych sal uniwersyteckich w Europie (a więc i na świecie), sopockie moło słusznie uchodzi za coś niezwykłego, a z oczywistych względów szczególnie są mi bliskie średniowieczne mury Paczkowa. To nie przeszkadza mi jednak w postawieniu pytania: czy Polska mogłaby żyć i być szczęśliwa bez Szczecina i Turoszowa? A może nawet lepiej by prosperowała? Pod warunkiem wszakże, że nie byłaby Polską komunistyczną, ale krajem opartym na gospodarce wolnorynkowej – a już zwłaszcza „społecznej gospodarce rynkowej” – z wolnym rynkiem politycznym, demokratycznie wybieranym parlamentem. Bo ja wiem, czy nie byłoby lepiej, gdyby ktoś gdzieś marzył o „polonizacji” swego położenia, tak jak wielu z nas marzyło o „finlandyzacji”? Myślę, że mówiąc o znaczeniu PKWN, warto zastanowić nad takim pytaniem. Ot, choćby dla umysłowej gimnastyki.

Jeżeli chodzi o drugą kwestię podjętą przez Pana Przewodniczącego, powiedziałbym tak: istnieją oczywiste związki między systemem zrodzonym w 1944 r. a dniem dzisiejszym, jak np. terytorium i społeczeństwo; istnieją też wiele innych, nieraz mało widocznych i bagatelizowanych. W ogólnym sensie można mówić, rzecz jasna, o ciągłości między PKWN a II Rzeczpospolitą. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego był przez jego twórców przedstawiany jako coś w rodzaju przetransformowanej II Rzeczpospolitej. Stąd np. liczne odwołania do konstytucji marcowej, pozostawienie wielu przepisów prawnych, a dzięki „łagodnej rewolucji” *à la* Borejsza jeszcze przez parę lat sędzieli przedwojenni sędziowie i wykładali przedwojenni profesorowie. Czy za tym stał zamysł oszustwa i traktowanie tego wszystkiego jako „potiomkinowskiej wioski”? Raczej tak, a w przypadku wielu komunistów nawet na pewno chodziło o oszukanie i Polaków, i świata zachodniego. Niemniej ogół komunistów uważał PKWN i Polskę Lubelską za owoc rewolucji społecznej, której byli założnikiem już od czasów Wielkiego Proletariatu, a może nawet księdza Ściegiennego i innych „postępowych demokratów”, których lista wydłużyła się z czasem do księcia Czciwora, co to dał łupnia Szwabom (byli to Sasi) pod Cedynią. Do tej rewolucji, nacjonalizacji własności, zmiany orientacji politycznej, likwidacji zgniłego systemu parlamentarnego itd. dążyli już w II Rzeczpospolitej. Zapewne każdy prawdziwy rewolucjonista chciałby, aby jego dłoń zmiotła „śląd przeszłości”, ale chyba rzadko kiedy udaje się to osiągnąć, gdyż inercja jest jedną z największych sił w dziejach człowieka. A zazwyczaj rewolucja wykorzystuje przydatne jej instrumenty powstałe

w innych warunkach ustrojowych. I tak uchwałą Rady Ministrów z 26 września 1946 r., podjętą na mocy przedwojennego prawa dotyczącego osób służących w obcych armiach, pozbawiono obywatelstwa 76 wysokich oficerów (w tym gen. Andersa), którzy pozostali na emigracji. Formalny zrąb ustawy o obywatelstwie z okresu II Rzeczypospolitej obowiązywał aż do chwili uchwalenia nowej ustawy, co nastąpiło 15 lutego 1962 r. Z punktu widzenia formalno-prawnego rzeczywiste cięcie miało miejsce nie w 1944 r., ale raczej w latach 1949–1950, a zwiędziała je Konstytucja PRL z 22 lipca 1952 r. Myślę np. o zmianie ustroju sądów, o likwidacji wojewodów i starostów, o połączeniu władzy samorządowej, w istocie wówczas kompletnie zglajehszaltowanej i niemającej już nic wspólnego z autentycznym samorządem, z terenową administracją państwową (rady narodowe jako „jedeny gospodarz terenu”). Oczywiście przedwojenne ustalenia prawne, „przedwojennych ludzi” (specjalistów), przedwojenne instytucje, a nawet symbole, wykorzystywano instrumentalnie i wybiórczo, ale w okresie PKWVN odgrywało to nader istotną rolę perswazyjną. Nie wykluczam, że w badaniach nad dziejami PRL właśnie okres PKWVN okaże się tym, który najlepiej wkomponowuje się w całość dziejów narodowych. Był to początek zerwania z przeszłością, ale duża część tkanki społecznej i instytucjonalnej jeszcze wówczas istniała.

Andrzej Friszke: Proszę państwa, podzielam pogląd, że groźba wcielenia Polski jako kolejnej republiki nie istniała, przynajmniej w realiach po II wojnie światowej. Natomiast istniały warianty, być może korzystniejsze. Wydaje się, że bardzo długo, do czerwca 1944 r., Stalin bardziej grał na te możliwości, intensywnie zwłaszcza od Teheranu, czyli od grudnia 1943 r. Z jednej strony podejmowano działania zmierzające do tworzenia Polskiego Komitetu Narodowego w Moskwie, to była taka kombinacja zbliżona do PKWVN. Miała stanowić alternatywę polityczną dla rządu w Londynie, rzekomo pluralistyczną, bez komunistów w roli głównej, ale z ich decydującą rolą na zapleczu. Szukano nawet jakichś osób i z Londynu, i z Ameryki (skierowano zaproszenie do Oskara Langego przebywającego w Ameryce). Polski Komitet Narodowy bardzo przypominał późniejszy Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Znaleźli się w nim ludzie z kraju, ze Związku Radzieckiego, z Ameryki, ludzie z demokratycznej emigracji; padały nawet takie nazwy, które później znajdują się w formułach jałtańskich. Równocześnie drugim torem, zwłaszcza w pierwszej połowie 1944 r., toczyła się główna gra na Londyn, na Stanisława Mikołajczyka, wywierano naciski, by zachodni alianci nakłonili Polaków do ugody. I tu powstaje kluczowe pytanie, na które my nie znamy odpowiedzi i na razie jej nie poznamy, bo znajduje się w źródłach rosyjskich. Czy była to gra obliczona na ściągnięcie rządu Mikołajczyka (o ile by przyjął linię Curzona) do Polski, czy też chodziło o to, żeby Mikołajczyk doprowadził do rozpadu rządu na emigracji, a wówczas wyłuskano by z tego rozwalonego obozu londyńskiego „demokratycznych Polaków”. Taka rysowała się alternatywa, ale do tej pory nie mamy odpowiedzi, którą z tych opcji Stalin uważał wówczas za bardziej realną. Ta gra toczyła się aż do 22 czerwca 1944 r. Tego dnia w Londynie odbyły się decydujące rozmowy ambasadora sowieckiego w Wielkiej Brytanii Wiktora Lebediewa z Mikołajczykiem. Mikołajczyk otrzymał ultimatum. Miał zaakceptować linię Curzona oraz wyrzucić z rządu ministrów związanych ze sprawą katyńską. Rząd miał więc przyjąć stanowisko sowieckie w sprawach

katyńskich. Mikołajczyk te warunki odrzucił i dokładnie tego samego dnia Stalin zaprosił na Kreml delegację Krajowej Rady Narodowej (do tej pory trzymał ją w obozach żołnierskich, żeby sobie oglądali, jak żołnierze się ćwiczą). Wiadac więc wyraźnie, że była alternatywa dla PKWN. Stała się jednak nieaktualna wobec stanowczości strony polskiej, która nie chciała się zgodzić na żądania graniczne Stalina. Problemem było również zaakceptowanie sowieckiej wersji sprawy Katynia, drugiego bardzo ważnego elementu w tej rozgrywce.

Teraz co do sprawy granicy. Otóż wydaje mi się, że mamy tu następującą sytuację: dopóki jest rozważany bardziej pluralistyczny wariant przyszłego rządu polskiego, czyli mniejszy stopień kontroli nad Polską, dopóty program graniczny na zachodzie jest skromniejszy, im zaś bardziej Stalin utwierdza się w przekonaniu, że będzie miał pełną kontrolę nad Polską i rząd polski będzie jego narzędziem, tym śmielszy staje się program graniczny. Nie wiem, czy mógłbym się zgodzić z prof. Paczkowskim, że wielkość terytorium nowej Polski nie ma znaczenia. Moim zdaniem granica na Odrze i Nysie warunkowała też rozwiązanie wielu problemów wewnętrznych (choćby takich jak przeprowadzenie reformy rolnej), które inaczej nie mogły być rozwiązane. Nie bardzo wierzę, że taka mała Polska mogła prosperować gospodarczo. Tego wątku w tej chwili nie będę rozwijał, bo nie chcę przedłużać.

Odniosę się do spraw związanych z dalszymi konsekwencjami. Otóż to prawda, że wiele rozwiązań instytucjonalnych i prawnych z czasów PKWN będzie jakoś funkcjonować później, natomiast czy był to pomysł na kontynuację II Rzeczypospolitej? Powiedziałbym raczej, że był to pomysł na kontynuację pewnych pozorów II Rzeczypospolitej w celu uzyskania większej legitymizacji, i zaakcentowałbym słowa „gra pozorów”. Użyłbym może nawet słowa „mystyfikacja”. Zarówno w odniesieniu do powstania PKWN, jak i do jego funkcjonowania odgrywa ono kluczową rolę. Przypomnę, że PKWN, według głoszonych powszechnie zasad, już w momencie powstawania oparł się na KRN. Rzekomo to KRN miała powołać PKWN, i do takiej konstrukcji „prawnej” przywiązywano dużą wagę, chociażby nakłaniając ZPP do uznania nadrzędności KRN. A przecież była to czysta mistyfikacja. Wiadomo, że jadącej do Moskwy delegacji KRN z Edwardem Osóbką-Morawskim na czele w ogóle się nie śniło, że będzie uczestniczyła w zakładaniu jakiegoś rządu. Co więcej, delegacja KRN, przebywając już w Moskwie, nie miała żadnej łączności z towarzyszami w Polsce, chociaż teoretycznie taką łączność mogła mieć, bo radiostacje sowieckie pracowały po jednej stronie frontu, depeze były odbierane po jego drugiej stronie, że już nie wspomnę o siatce wywiadowczej. Możliwość porozumienia istniała, ale nie została wykorzystana. Ze wspomnień Władysława Gomułki wynika, że o powstaniu PKWN dowiedział się z radia, tak samo jak Bolesław Bierut, przewodniczący KRN. Zapewne przewodniczący KRN nie miał zielonego pojęcia, że coś takiego powstaje. W związku z tym już sam zabieg z powołaniem PKWN był mistyfikacją.

Mystyfikacja polegała również na znacznym poszerzeniu zakresu spraw, które odtąd stale towarzyszyły życiu politycznemu PRL. Chociażby pluralistyczny charakter PKWN, który zakładał – komunistów było przecież w Komitecie niewielu – że dominują, formalnie rzecz biorąc, przedstawiciele (może nie przedstawiciele, bo to kolejna mistyfikacja) innych stronnictw: socjaliści, ludowcy, demokraci. Tymczasem wiadomo, że tak naprawdę sprężyną działań byli komu-

niści. To nie ludowcy i nie Edward Osóbka-Morawski podejmowali kluczowe decyzje, ale inne osoby, niekoniecznie nawet członkowie PKWVN, tylko na przykład zastępcy dyrektorów departamentów, i to było właściwe źródło władzy. Ten element teatralizacji życia publicznego polegający na tym, że co innego postrzega zwykły obywatel jako władzę, względnie gdzie indziej jest „konstytucyjna” władza wykonawcza, a gdzie indziej tak naprawdę się ona znajduje, stanowi charakterystyczną cechę systemu władzy w okresie powojennym. Bo przecież, jak wiemy, prawdziwą władzą było uformowane w sierpniu 1944 r. Biuro Polityczne KC PPR. Historycy badający Polskę Lubelską niekoniecznie interesują się protokołami posiedzeń PKWVN, natomiast bardzo pilnie badają protokoły posiedzeń kierownictwa PPR, bo tu było źródło władzy i linia łączności ze Stalinem. To tu zapadały kluczowe decyzje.

Kolejną grą pozorów związaną właśnie z PKWVN była wielopartyjność, która następnie została sformalizowana w postaci konkretnych stronnictw. Według pomysłów Józefa Stalina powojenna władza miała być maksymalnie pluralistyczna. W depeşach Gomułkę gromiono za sekciarstwo, za to, że nie chce mieć w przyszłym rządzie endeków, chadeków. Według wyobrażeń Moskwy powinien być w nim pełny wachlarz stronnictw, ale stronnictw niesuwerennych. Dlatego tworzono je od zera, z pominięciem dotychczasowych struktur organizacyjnych, przywódców, ignorując to, że równolegle istniała w podziemiu Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Ludowe oraz Stronnictwo Pracy. Tworzenie tych stronnictw pod kuratelą komunistów, niesuwerennych i kontrolowanych, podbudowanych różną agenturą, ale przedstawianych jako suwerenne siły polityczne, jest kolejną manipulacją i mistyfikacją, która w tamtym momencie bierze swój początek, a która bardzo długo będzie kontynuowana w PRL w postaci wielu organizacji fasadowych.

Zbliżając się ku końcowi mojej wypowiedzi, chciałbym powiedzieć rzecz następującą: rzeczywiście PKWVN powstał w 1944 r. z woli Stalina i był pomysłem na realizację formuły Polski zależnej od Moskwy. Pomysłodawca w gruncie rzeczy zablokował możliwość powstania jakiegoś kompromisu z autentycznymi siłami politycznymi. To była swego rodzaju dywersja, która przez wprowadzenie na scenę polityczną PKWVN *de facto* uniemożliwiła poważne rozmowy między Mikołajczykiem a Stalinem w Moskwie. W tym sensie PKWVN był niewątpliwie narzędziem zniewolenia Polski. Natomiast czy była taka hipotetyczna możliwość, by polscy komuniści nie uczestniczyli w tej grze? Aby nie działali wspólnie ze Stalinem, ale wspierali Mikołajczyka? To jest oczywiście nieporozumienie. Musiałoby polskich komunistów po prostu nie być dlatego, że – jak tu słusznie w części referatowej ktoś powiedział – komuniści z zasady utożsamiali się ze Związkiem Radzieckim jako narzędziem wielkiej rewolucji, wielkich przemian, budowania nowej cywilizacji. Trudno sobie wyobrazić, żeby komunista wahał się, czy optować za Polską z jej rządem „reakcyjnym”, czy działać na rzecz widma rewolucji i państwa komunistycznego. I rzeczywiście o takich wahaniach nic nie wiemy.

Jerzy Eisler: Gdy jakiś czas temu dr Rafał Wnuk zatelefonował do mnie, prosząc, bym zastąpił prof. Andrzeja Werblana w tym panelu, pół żartem, pół serio zapytałem, czy wobec tego mam być prof. Werblanem? Innymi słowy, czy w dyskusji – o ile tylko będzie to możliwe – mam starać się reprezentować jego

poglądy? W odpowiedzi usłyszałem: „Nie, postaraj się być sobą!”. Zaczę zatem nieco przewrotnie od artykułu, który na wstępie przywołał dr hab. Paweł Machcewicz. Żeby państwa zachęcić do lektury tego tekstu, powiem tylko jedno: w ogóle nie pojawia się w nim pojęcie Armia Krajowa. Jeżeli pisze się poważny artykuł na temat PKWN, o instalowaniu w Polsce władzy komunistycznej latem 1944 r., a gubi się taki „drobiazg” jak AK, to odbieram to jako poważny sygnał, że coś jest nie tak.

Zostawmy to jednak na boku i spróbujmy na całą sprawę spojrzeć nieco inaczej. W sądownictwie, w kryminalistyce często pada pytanie, kto z takiego a nie innego przebiegu jakiegoś wydarzenia skorzystał; kto i z jakich względów był nim szczególnie zainteresowany? Postawmy te pytania w odniesieniu do wszystkiego, co działo się w lipcu i sierpniu 1944 r. na zachód od Bugu i zarazem na wschód od Wisły. W tym przypadku odpowiedź jest banalnie prosta. Niekoniecznie zresztą z tych samych powodów, ale nie ulega wątpliwości, że akurat takim, jaki nastąpił, rozwojem wydarzeń najbardziej zainteresowani byli Stalin i polscy komuniści. Patronując powstaniu PKWN, przywódca Związku Radzieckiego uzyskał realną szansę na przesunięcie granicy swego imperium, strefy wpływów czy może już od razu bezwzględnej dominacji, znacząco na zachód, do serca Europy – tak głęboko, jak nigdy przedtem nie sięgała. Już nie tylko Warszawa i Łódź miały być – jak w czasach zaborów – miastami w rękach Rosjan, ale docelowo również ziemie położone dużo dalej na zachód.

Sprawa z polskimi komunistami jest bardziej skomplikowana. Przede wszystkim dobrze byłoby wiedzieć, ilu – po stalinowskich czystkach, działaniach wojennych i okupacji niemieckiej – żyło jeszcze w 1944 r. członków Komunistycznej Partii Polski? O jak dużej grupie można mówić w tym przypadku: dwa, trzy, pięć tysięcy osób czy może jeszcze trochę więcej? W każdym razie była to grupa o minimalnych wpływach w społeczeństwie i w żaden sposób – nawet razem z młodszymi towarzyszami z PPR – nie miałyby szans na zdobycie władzy w drodze wyborów parlamentarnych. Zresztą sam Władysław Gomułka przyznawał: „Nie kartka wyborcza doprowadziła nas do władzy”. Co w takim razie sprawiło, że polscy komuniści ją przejęli? Oczywiście zdobyli oni władzę wyłącznie dzięki militarnej potędze Armii Czerwonej, która w drodze do Niemiec musiała przejść przez terytorium Polski. O przyszłości powojennej Polski przesądziły *de facto* miliony sowieckich żołnierzy, które wkroczyły do niej w marszu na Berlin. Można wskazać niewiele podobnych przykładów tworzenia lokalnych rządów (pragnących uchodzić za suwerenne) przy aż tak silnej obecności militarnej innego państwa.

Osobiście nie lubię określenia „agentura”, gdyż jest ono silnie nacechowane negatywnymi konotacjami, ale naprawdę nie wiem, jak w zgodzie z naukowymi standardami inaczej nazwać tworzony w takich warunkach w Moskwie PKWN. W tym miejscu nasuwa się od razu pytanie o realną alternatywę dla PKWN. I tutaj nie do końca zgadzam się z moimi przedmówcami. Rzeczywiście były alternatywy, i to bardzo złe, a tak naprawdę wszystko zależało od Stalina. On decydował o wszystkim i sam w istocie podejmował kluczowe decyzje. Ponieważ wiele rozwiązań dojrzało wyłącznie w jego umyśle, jest to nie do zbadania, bo nie potrafimy dokładnie odtworzyć jego procesów myślowych. Możemy w sposób poważny analizować jedynie to, co się ostatecznie stało, a nie to wszystko, co teoretycznie stać się mogło. Tymczasem nie dysponujemy (przynajmniej na ra-

zie!) dokumentami, które mówiłyby o tym, że w gabinecie na Kremlu Stalin z Wiaczesławem Mołotowem czy Ławrientijem Bериą rozmawiali o rozwiązaniach dotyczących Polski, że analizowali jakieś warianty rozwoju wypadków. Zresztą pewnych rzeczy nie dowiemy się nigdy. Wypada natomiast zastanowić się nad tym, czy i ewentualnie jakie mogły być alternatywne scenariusze.

Zacząć chyba należy od tego najmniej prawdopodobnego, w praktyce w ogóle nierealnego: oto latem 1944 r. nad Wisłą zamiast dywizji Armii Czerwonej znajdują się – powiedzmy – trzy miliony amerykańskich i brytyjskich żołnierzy. Naturalnie wtedy historia toczy się zupełnie inaczej. Tylko że po konferencji w Teheranie było to niemożliwe. Z wyjątkiem zaś tego jednego wszystkie pozostałe scenariusze „ustawiały” polskich komunistów i ich sowieckich protektorów w sytuacji zdecydowanej uprzywilejowanej. Trzeba przy tym wyraźnie powtórzyć, że głównym rozgrywającym był wtedy Stalin, a polscy komuniści – co zresztą wcale ich nie usprawiedliwia – odgrywali jedynie role wykonawców jego planów i zamierzeń. Widać to może najlepiej na przykładzie silnie zresztą zmistyfikowanej kwestii „siedemnastej republiki”. Można powiedzieć gorzko, że i tak w 1944 r. mieliśmy na swój sposób szczęście, bo gdyby Stalin uznał, iż to jest z jakichś względów dla niego rozwiązanie korzystniejsze, to ani AK, ani nasi sojusznicy oddaleni wtedy o tysiące kilometrów od Wisły – niezależnie od stopnia ich determinacji – nie byłiby w stanie nic w tej sprawie zrobić.

Należy też zastanowić się chwilę, do czego porównuje się PKWVN. W ślad za prof. Januszem Wroną skłonny byłbym przy tym traktować PKWVN jako część „większej całości” i porównanie to rozciągnąć na całe 45 lat Polski Ludowej. Niezależnie od wszystkich zastrzeżeń i ograniczeń porównuje się ją zwykle z Francją za rządów Vichy, z Księstwem Warszawskim, z Królestwem Polskim w latach 1815–1830. Przypomnijmy więc tutaj, iż we Francji reżim Vichy został po prostu niemal wyłączony z narodowej historii – chciałoby się powiedzieć, że został wyklęty. Po wojnie wielu ludzi Vichy sądzono, skazywano na więzienia, niektórych nawet stracono, a i tak często się mówi, że Francja nie rozliczyła się uczciwie z problemem kolaboracji z lat II wojny światowej. Winnym tego stanu rzeczy w jakimś stopniu był gen. Charles de Gaulle, który praktycznie od razu, już w sierpniu 1944 r. oświadczył, że Republika Francuska nigdy nie przestała istnieć. W ten sposób pétainowskie Państwo Francuskie niemal automatycznie znalazło się w historycznym niebycie.

Z kolei Księstwo Warszawskie zarówno w języku potocznym, jak i w myśleniu historycznym Polaków z pewnością nie jawi się jako kraina marzeń. Alternatywą dla niego byłby chyba tylko brak bytu państwowego. Królestwo Polskie również nie było rajem, bo przecież gdyby nim było, nie doszłoby do wybuchu powstania listopadowego. W każdym z tych przypadków mieliśmy do czynienia z czymś, co można by określić mianem mniejszego zła, przy czym w żadnym razie nie jest to aluzja do stanu wojennego i słów gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Skoro jednak pojawia się kategoria „mniejszego zła”, to musiało być również jakieś większe zło. Zapewne dla stosunkowo liberalnego Królestwa Polskiego z lat 1815–1830 takim gorszym wariantem był na przykład późniejszy Kraj Przywiślański. Analogicznie można chyba powiedzieć, że PKWVN i to wszystko, co nastąpiło potem, było mniejszym złem, o ile faktycznie istniało prawdopodobieństwo włączenia Polski w granice Związku Radzieckiego. W jakimś bowiem sensie nie tylko stan wojenny,

ale w ogóle cały okres PRL był jednym wielkim mniejszym złem. Byłoby tak jednak tylko wtedy, gdybyśmy mieli pewność, iż istotnie większym złem była „siedemnasta republika”, później wojna domowa, a jeszcze później sowiecka interwencja zbrojna (np. w 1956, 1970, 1981 r.). Wyłącznie przy takim założeniu można by się zgodzić z twierdzeniem, że lepiej się stało, iż stan wojenny wprowadził gen. Wojciech Jaruzelski, a nie marsz. Wiktor Kulikow. Ale z powodu braku dostępu do wielu dokumentów ciągle nie mamy takiej pewności!

W cytowanym już artykule prof. Andrzej Werblan napisał, że dla polskich komunistów fakt, iż Stalin osobiście poprawiał i „redagował” Konstytucję PRL, stanowił podobny zaszczyt jak dla szwoleżerów to, że sam cesarz Napoleon Bonaparte napisał Konstytucję Księstwa Warszawskiego. Ale jeśli przyjąć, że tak było istotnie, to koniecznie trzeba dodać, iż w tym pierwszym przypadku nie było ani hrabiny Marii Walewskiej, ani księcia Józefa Poniatowskiego, ani gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, ani wielu innych zasłużonych dla Polski postaci historycznych. Różnica była mniej więcej taka sama jak między Napoleonem a Stalinem, ale w tym gronie nie ośmieliłbym się jej objaśniać. Polscy komuniści byli posłusznymi wykonawcami woli tego ostatniego, w praktyce bez większego wpływu na bieg wydarzeń. Stalin dyktował im warunki, a oni je bez słowa przyjmowali. Nie mamy żadnego świadectwa potwierdzającego, że np. mówili: „Towarzyszu Stalin, dajcie nam Lwów”, i co – Stalin dał im Lwów? Wszystko w praktyce przebiegało tak, jak Stalin to wcześniej zakreślił. I może dlatego właśnie mógł (i chciał!) z Konstytucji PRL z 22 lipca 1952 r. pewne rzeczy wyrzucić, a inne dopisać.

Podsumowując, chciałbym jeszcze tylko dodać, że w historii ludzkości nader często występuje coś takiego jak mit dziewiczego początku. Wystarczy spojrzeć, jakim kultem otacza się w Stanach Zjednoczonych ojców założycieli. Podobnie w Związku Radzieckim – nawet już po upadku systemu komunistycznego – często mówiono, że Włodzimierz Lenin stworzył wszystko to, co było w nim dobre, natomiast Stalin wypaczył, wynaturzył ten ustrój. Mit dziewiczego początku jest ludziom potrzebny. W Polsce komuniści też się nim posłużyli, aby potem móc lansować mit dobrego komunisty krajowego, polskiego. Uosabiał go Władysław Gomułka, który chciał do socjalizmu podążać „polską drogą”. W tym ujęciu początek Polski Ludowej był niemal świetlany, a dopiero po 1948 r. miały pojawić się „błędy i wypaczenia”. Dziś wiemy, że jest to ujęcie nieprawdziwe. Od samego początku w kraju szalał terror, a władza komunistyczna w Polsce zasadzała się na kłamstwie. Wszak PKWN nie powstał tutaj w Chełmie, który zresztą wcale nie był pierwszym polskim miastem na szlaku Armii Czerwonej, i nie tutaj jego Manifest został przygotowany i ogłoszony. Potem mogły być i były coraz większe kłamstwa, które piętrowo nakładały się na siebie. Profesor Paczkowski natrafił kiedyś na sporządzone tą samą ręką wyniki referendum z 1946 r.: te rzeczywiście i te już sfalszowane, przeznaczone do publikacji. Naprawdę trudno było liczyć na to, że ślady tego typu fałszerstw zachowają się do naszych czasów. Podobnie, jak wiadomo, rzecz się ma z rosyjskojęzycznym tekstem Konstytucji PRL z odręcznymi poprawkami Stalina, które potem osobiście Bolesław Bierut skrupulatnie przenosił na tekst polski. Nie było zatem żadnego dziewiczego początku, od razu było kłamstwo, manipulacje i zbrodniczy terror.

Dlatego też, gdy słyszę apele o oddanie należnego szacunku polskim komunistom, których działalność – w ocenie osób wypowiadających tego typu sądy

– ocaliła powojenną Polskę od znacznie gorszego losu, niezmiennie odpowiadam retorycznym pytaniem: czy jest taki kraj na świecie, gdzie kolaborantom buduje się pomniki i ich imieniem nazywa się statki, szkoły, ulice i place?

Paweł Machcewicz: Dziękuję bardzo. Otwieram dyskusję, proszę o stawianie pytań, wygłaszanie polemik.

Antoni Dudek: Kilka króciutkich uwag na marginesie tych interesujących wystąpień. We wszystkich wypowiedziach pojawiało się nazwisko Stalina. Otóż prof. Paczkowski postawił bardzo przewrotną hipotezę, że być może bez ziem zachodnich byłoby nam nie gorzej, a gdyby Polska rzeczywiście stała się krajem suwerennym i skorzystała z planu Marshalla, to nawet byłoby nam lepiej. Dla mnie w ogóle demagogicznym argumentem, podnoszonym mniej przez historyków, a częściej przez publicystów, jest stwierdzenie, że właśnie dzięki objęciu w Polsce władzy przez komunistów Stalin walczył o polskie ziemie zachodnie. W Poczdamie on przede wszystkim walczył o granice imperium sowieckiego. W 1945 r. było już dla wszystkich jasne, że Polska znalazła się w strefie wpływów sowieckich, ale los Niemiec nie został jeszcze przesądzony. Dlatego w tym momencie Stalin walczył o zachodnią granicę swego imperium. Później okazało się, że przebiegała ona na Łabie, a nie na Odrze i Nysie Łużyckiej, ale to wyjaśniło się dopiero po 1945 r. To jest pierwsza sprawa.

Następnie chciałbym się odnieść do postawionego wcześniej pytania, w jaki sposób twórcy PKWVN podchodzili do tradycji II Rzeczypospolitej, do konstytucji marcowej, do której się odwołali. Nawiążę do wygłoszonego wczoraj przez prof. Zbigniewa Zaporowskiego referatu o myśli politycznej KPP⁷. Może akurat on nie dotyczył tej kwestii, ale obecni tutaj przypominają sobie, że wewnątrz KPP trwał wieloletni spór między większością i mniejszością. W największym skrócie sprowadzał się on do tego, że tzw. większość chciała rewolucji w dwóch etapach: najpierw rewolucji demokratycznej, czyli rewolucji ludowej, a później dopiero rewolucji proletariackiej. Natomiast mniejszość mówiła, że trzeba od razu przechodzić do rewolucji proletariackiej. W praktyce chodziło o to, czy kolektywizację robić zaraz po zwycięstwie rewolucji, czy po pewnym okresie przejściowym. Wtedy w latach trzydziestych Stalin rozstrzygnął ten spór na korzyść mniejszości z Julianem Leńskim na czele, a przywódcy większości zostali wymordowani. Później w 1944 r. Stalin wrócił do pomysłu większości, czyli rewolucja miała być jednak dwuetapowa. Pierwszy etap rozpoczął się w 1944 r.: to Manifest PKWVN i te wszystkie pozorne, dekoracyjne działania związane z rządem koalicyjnym. W 1948 r. zarządzono drugi etap: pozbyto się z kierownictwa partii tych wszystkich z Gomułką na czele, którzy mieli jakieś wątpliwości, i przystąpiono do rewolucji prawdziwej, proletariackiej.

Rzecz ostatnia, też związana z Józefem Stalinem. Otóż moi przedmówcy mówili, że w 1944 r. nie można sobie było wyobrazić rządu, jakiejś władzy na ziemiach polskich bez udziału komunistów, ale kiedy to się właściwie zadecydowało?

⁷ Referat pt. „Komunistyczna Partia Polski a Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, programowa ciągłość czy zmiana”.

Staralem się słuchać większości wystąpień, ale wydaje mi się, że referenci nie wspomnieli o tym, co stało się w 1943 r. Wtedy alianci zachodni podjęli decyzję o otwarciu drugiego frontu we Francji, co nastąpiło w czerwcu następnego roku. Przypominam, że Winston Churchill proponował otwarcie drugiego frontu na Bałkanach, ale nie zgodzili się na to Amerykanie. Wyobraźmy sobie sytuację, w której w 1944 r. alianci najpierw lądują na Bałkanach. Czy to zmieniliby układ? Zapewne nie, bo było już za późno, ale to pokazuje sposób myślenia Churchilla. Dostrzegał on ekspansję sowiecką i zagrożenia z nią związane już w pierwszej połowie 1943 r. Rzecz nie polegała tylko na otwieraniu drugiego frontu, ale także na ogromnej pomocy wojskowej, bezcennej dla Związku Radzieckiego w 1943 r., kiedy Niemców odpychano spod Stalingradu, a później pokonano w bitwie na łuku kurskim. Wydaje mi się, że gdyby nie polityka amerykańska, sytuacja mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej. Amerykanie po prostu byli wybitnie krótkowzroczni, to jest sprawa dość oczywista, ale warto, żeby na tej konferencji, kiedy mówimy o alternatywnych możliwościach rozwoju sytuacji, zostało to jasno powiedziane: Amerykanie popełnili wielki, gigantyczny, historyczny błąd, którego „odkręcanie” zajęło im następne 50 lat. Błąd polegający na zbyt łatwowiernym traktowaniu „wujka Joe”, jak pieczołtliwie nazywano Józefa Stalina.

Leonid Zaskilniak: Bardzo interesująca dyskusja i poruszono w niej już wiele tematów, ale ja mam jeszcze jedno pytanie. Zwróciłem szczególną uwagę na wystąpienie prof. Eislera. Chciałbym odnieść się do tego, co powiedział o kolaboracji. Co to jest kolaboracja? Jeżeli pomyślimy o polityce jako o sztuce kompromisu, czyli sztuce realności, to wtedy nie można mówić o kolaboracji, a jedynie o realnej polityce. Zresztą jak to było w XIX w.? A więc jeżeli pekawuonowcy (nie mówię o komunistach) liczyli się z realną polityką i brakiem alternatywy, to postępowali nie jak kolaboranci, ale jak politycy, tu widzę sprzeczność. O to chciałem właśnie zapytać.

Paweł Machcewicz: Czy są jeszcze jakieś pytania, polemiki, komentarze?

Leon Kieres: Pragnę uzupełnić informacje przekazane przez prof. Paczkowskiego. Mianowicie jako prawnik zajmujący się historią administracji publicznej z całą stanowczością chcę potwierdzić, że między 1944 a 1950 r. próbowano w sposób fasadowy podtrzymywać pewne przedwojenne rozwiązania ustrojowe, zwłaszcza gdy idzie o administrację publiczną. Polski samorząd terytorialny funkcjonował na podstawie ustawodawstwa przedwojennego do 1950 r., kiedy specjalną ustawą o terenowych organach jednolitej władzy publicznej kompletnie zniesiono jakiegokolwiek jego przejawy. Wprowadzono system administracji publicznej oparty na zasadach centralizmu demokratycznego, później, w 1952 r., umocowany w konstytucji lipcowej. Podobnie było z administracją gospodarczą. Rozwiązania przedwojenne, dajmy na to prawo przemysłowe z 1927 r., obowiązywały formalnie do 1950 r., do czasu uchwalenia dekretu o przedsiębiorstwach państwowych, ale to wyzwywanie przedsiębiorców z własności prywatnej przejawiało się jeszcze w okresie przed 1956 r. w przejmowaniu w tzw. przymusowy zarząd tych firm prywatnych, które państwo chciało niby legalnie przejmować.

I tu jest problem, którym chciałbym się z państwem podzielić i usłyszeć państwa stanowisko. Składając w Senacie sprawozdanie, powiedziałem: „Nie odcinam się od PRL, żyłem w PRL, to było jednak, jakkolwiek byśmy je oceniali, państwo, w którym wszyscy w jakiś sposób byliśmy zakorzenieni po różnych stronach, a ja akurat byłem po tej stronie, która się wadziła z tym państwem”. Wtedy jeden z senatorów powiedział mi, że to jest hańba, że ja nie powinienem użyć tego sformułowania (moje wystąpienie było następnie przywołane w czasie sprawozdania sejmowego). Powiedział on, że przecież nawet Niemcy odcięli się od Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a ja nie odcinam się od PRL? O to też pytała mnie dzisiaj telewizja. Jak oceniam ten okres z punktu widzenia ustrojowego, czy to jest czarna dziura? Innymi słowy, czy można by tę dziurę zaklajstrować uchwałą Senatu z 1997 r. o ciągłości ustrojowej między II a III Rzeczpospolitą (przypominam, że taką uchwałą polski Senat w 1997 r. przyjął). Dla historyka rozumiem, że tutaj może nie być szczególnych problemów, ale dla prawnika one jednak są, zwłaszcza jeśli dzisiaj odwołujemy się (zwłaszcza w sensie pozytywnym) do pewnych rozwiązań ustawodawczych przyjmowanych w okresie 1944–1989. Wiele z nich było stosowanych czy recypowanych nawet po 1989 r. w nowo przyjmowanych rozwiązaniach prawnych. Myślę, że to jest problem nie tylko dla takich ludzi jak ja, którzy się zajmują historią ustroju państwa polskiego. Może któryś z historyków powiedziałby mi, czy się zhańbiłem, tak jak powiedział ten poseł, czy jednak miałem jakąś częściową rację, odrzucając tamto państwo jako złe, totalitarne, niesuwerenne, niedemokratyczne, ale państwo (ja odrzuciłem państwo w 1980–1981 r., kiedy należąc do struktur opozycji demokratycznej, opowiedziałem się za inną formacją ustrojową).

Andrzej Paczkowski: Jeszcze tylko w sprawie tezy o „dwuetapowej rewolucji”, czyli o dwóch etapach komunizowania Polski. Pierwszy etap to lata 1944–1948/1949, drugi okres – 1949–1955. Oczywiście spotkanie w dniu 22 lipca, w dodatku w tym miejscu, podkreśla wagę czury 1944 r., bo wówczas właśnie rozpoczęło się wielkie cięcie ustrojowe. Chciałbym jednak, żebyśmy przy tej okazji nie zapomnieli, że był jeszcze drugi etap i że – jak sądzę – on właśnie był konkluzyjny, gdyż dopiero w tych latach zbudowano prawdziwe podstawy państwa komunistycznego. Polska Lubelska w małym tylko stopniu była zapowiedzią tego, co powstało później. Właściwie jedno było pewne: władzę nad krajem zdobyli zwolennicy jednej z najbardziej radykalnych ideologii XX w. i uzyskała ją państwo, w którym ideologię tę usiłowano wprowadzać w życie. A przynajmniej się na nią powoływano. Co się w Polsce uda i kiedy – jeszcze nie było wiadome.

Janusz Wrona: Proszę państwa, wszystkie tezy, które przedstawili przedmówcy, *de facto* zamykają się w stwierdzeniu, iż mówimy dzisiaj głównie o PKWVN, bo on był elementem konstruującym po II wojnie światowej system władzy w Polsce. Natomiast myślę, że zasadna jest uwaga dr. Dudka dotycząca kontekstu międzynarodowego. My dzisiaj właściwie o nim nie mówiliśmy, a problem, czy to kwestia siedemnastej republiki, czy w ogóle umiejscowienia Polski w 1944 r., ściśle łączy się także z relacjami geopolitycznymi. I tu padło stwierdzenie, że Amerykanie popełnili straszliwy błąd, nie zgadzając się na koncepcję Churchilla, by uderzyć w to miękkie podbrzusze, czyli Bałkany. Ja też tak myślałem, ale po

prze czytaniu książki Henry'ego Kissingera *Dyplomacja*⁸ s ądzę, że to nie był błąd. Zupełnie nie bierzemy dziś pod uwagę ówczesnych relacji amerykańsko-brytyjskich ani faktu, że przecież jeszcze w 1944 r. prezydent Stanów Zjednoczonych obiecywał Stalinowi, iż wojska amerykańskie zostaną w Europie tylko dwa miesiące po zakończeniu wojny. A teraz jest pytanie, czy Amerykanie byli krótkowzroczni? Nie zgadzam się z tą tezą. Przenosimy mechanizmy polityki europejskiej na kontynent amerykański. Stawiam tezę i jestem gotów jej bronić, że polityka zagraniczna prezydenta Stanów Zjednoczonych jest pochodną polityki wewnętrznej. Bez poparcia dla tej polityki niewiele może on zrobić, bo przecież co cztery lata mamy weryfikację wyborczą. O czym myślało społeczeństwo amerykańskie w 1944 r.? O jak najszybszym zakończeniu wojny i o powrocie amerykańskich chłopców do domu, tym bardziej że Ameryka cieszyła się okresem wielkiej prosperity, niemal znikło bezrobocie. Właściwie był to kraj (paradoksalnie) wielkiej szczęśliwości ekonomicznej. Kissinger przypomniał, że prezydent Roosevelt nie miał koncepcji dotyczącej Europy, i to stworzyło przestrzeń dla Stalina. Zacz ął on kreować rzeczywistość, bardzo sprytnie zreszt ą wygrywając różnice między polityką amerykańską a brytyjską. Czy to był błąd? Powiem o jednej rzeczy (o której w gronie historyków wszyscy wiemy): znamy przemówienie Stalina w Teatrze Bolsz o j z 9 lutego 1946 r. Jest ono wezwaniem do krucjaty, do III wojny światowej. Ile trzeba czekać, by pojawiła się doktryna Harry'ego Trumana? Prawie rok. A dlaczego trzeba czekać? Bo trzeba przekonać amerykańskie społeczeństwo, że istnieje możliwość wybuchu kolejnej wojny z powodu agresji Związku Radzieckiego. Uważam, że uwzględnienie nieco innych relacji i mechanizmów polityki globalnej jest także istotne dla Polski. W moim odczuciu teza, że właściwie nasz los był przes ądzony, że tu nie było alternatywy, wydaje mi się najbardziej zasadna. Czy była na przykład możliwość dogadania się z Mikołajczykiem? Teoretycznie tak, ale pamiętajmy, że Beneš też przecież dogadał się ze Stalinem, a co się stało w lutym 1948 r.? Czyli w każdej sytuacji, nawet gdyby Mikołajczyk przyjechał do Lublina i wywalczył lepsze warunki niż PKWN, to w tym biegunowym podziale świata, jaki się wówczas tworzył, i przy dominacji Związku Radzieckiego w tej części Europy, los Polski był przes ądzony, tak jak los Mikołajczyka.

Wspomnę jeszcze o jednej sprawie. Profesor Paczkowski bardzo ciekawie sprowokował problem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Ja też się zgadzam, że tutaj Stalin walczył o przesunięcie tej granicy maksymalnie na zachód. Nieprzypadkowo Szczecin dostaliśmy w sierpniu 1945 r., kiedy było już jasne, że Polska znajduje się praktycznie pod kontrol ą Związku Radzieckiego. Nie został podkreślony jeszcze jeden aspekt. Proszę państwa, przecież ta granica przez długie lata, w zasadzie do 1970 r., czyniła z nas zakładnika polityki zagranicznej Związku Radzieckiego. Oznaczało to, że bez aprobaty i bez ochrony Związku Radzieckiego jesteśmy ciągle zagrożeni – jak to mówił Gomułka – rewizjonizmem zachodniemieckim. I problem, który poruszył prof. Leon Kieres: czy można się odciąć od PRL? Proszę państwa, dwie trzecie Polaków urodziło się i wychowało w PRL, nie można odciąć się od własnych życiorysów, nie ma czarnej dziury

⁸ H. Kissinger, *Dyplomacja*, Warszawa 1996.

w historii. Owszem, padały takie zdania, że można krytycznie patrzeć na swoją działalność, na swoje życie, natomiast od tego się nie da odciąć. Tak jak zdajemy sobie sprawę, że te dwie trzecie Polaków zostały mentalnie ukształtowane przez okres PRL, co w sposób istotny rzutuje na dzisiejszy stan świadomości społecznej. Dlatego bardzo mi się podobało zdanie, które przeczytałem w prasie przy okazji 22 lipca: „Przez 45 lat mieliśmy pewną chorobę i dopiero piętnaście lat jesteśmy na rekonwalescencji”. To jest świetne zderzenie – 45 lat choroby oznacza, że rekonwalescencja, czyli ta zmiana świadomości społeczeństwa, jej przebudowa, musi jeszcze sporo potrwać.

Paweł Machcewicz: Na sam koniec chciałem się jeszcze odnieść do tego, co powiedział prof. Kieres i do pytania postawionego ostatnim głosem prof. Wrony. Sądzę, że można akceptować nieuchronną ciągłość prawną, społeczno-gospodarczą między PRL a III RP, a jednocześnie bardzo silnie, bardzo jednoznacznie podkreślać, że PRL była dyktaturą, przez część swojego istnienia krajem totalitarnym, w którym stosowano wobec obywateli terror na masową skalę, a od początku do ostatnich swoich dni – krajem niesuwerennym, łamiącym prawa człowieka. Niezależnie od wszelkich alternatyw, niezależnie od wszelkiej historycznej konieczności. Nie jest to sprzeczne z oczywistą prawdą, że w PRL, mimo wszystkich zbrodni i nieprawości rządzących, uczciwie żyły i pracowały miliony ludzi. Osąd systemu w niczym nie pomniejsza dorobku tych ludzi (np. twórców kultury, ale też wszystkich innych), nie uwłacza ich pamięci. Uważam, że PRL nie może być dzisiaj częścią jakiegokolwiek pozytywnie rozumianej tradycji narodowej. Można akceptować ciągłość w pewnych zakresach i jednocześnie odrzucać tamto państwo, tamten system na poziomie symbolicznym, moralnym. Tutaj nie ma, jak sądzę, żadnej sprzeczności albo jest tylko pozorna.

JERZY EISLER (ur. 1952) – profesor doktor habilitowany w Instytucie Historii PAN w Warszawie oraz dyrektor Oddziału IPN w Warszawie. Specjalizuje się w historii najnowszej Francji oraz dziejach PRL po 1956 r. Autor książek *Marzec 1968. Geneza, przebieg, konsekwencje* (1991); *Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje* (2000); ostatnio opublikował *Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych* (2001).

ANDRZEJ FRISZKE (ur. 1956) – doktor habilitowany, docent Instytutu Studiów Politycznych PAN w Warszawie, profesor Collegium Civitas, redaktor miesięcznika „Więź” oraz członek Kolegium IPN. Zajmuje się dziejami Polski w XX w., jest m.in. autorem książek *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (1994) i *Koło Posłów Znak w Sejmie PRL (1957–1976)* (2002). Ostatnio opublikował syntezę *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (2003).

PAWEŁ MACHCEWICZ (ur. 1966) – doktor habilitowany, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, profesor Collegium Civitas, docent Instytutu Studiów

Politycznych PAN. Zajmuje się historią XX w. Autor książek *Polski rok 1956* (1993); *Władysław Gomułka* (1995); *Historia Hiszpanii* (1998; wraz z Tadeuszem Miłkowskim); *Emigracja w polityce międzynarodowej* (1999); *Kampania wyborcza i wybory do Sejmu 20 stycznia 1957 r.* (2000).

ANDRZEJ PACZKOWSKI (ur. 1938) – profesor doktor habilitowany, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, członek Kolegium IPN. Autor między innymi książek: *Prasa Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939* (1972); *Prasa i społeczność polska we Francji w latach 1920–1940* (1979); *Stanisław Mikołajczyk czyli kłeska realisty. (Zarys biografii politycznej)* (1991); *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989* (1995); *Od sfalszowanego zwycięstwa do prawdziwej klęski. Szkice do portretu PRL* (1999); *Droga do „mniejszego zła”. Strategia i taktyka obozu władzy, lipiec 1980 – styczeń 1982* (2002); wydawca wielu tomów źródeł historycznych.

JANUSZ WRONA (ur. 1953) – doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, pracownik naukowy Instytutu Historii UMCS, zajmuje się funkcjonowaniem życia społecznego i politycznego oraz mechanizmami sprawowania władzy w Polsce po 1944 r. Autor książek *System partyjny w Polsce 1944–1950. Miejsce, funkcje, relacje partii politycznych w warunkach budowy i utrwalania systemu totalitarnego* (1995); *Zależni czy suwerenni. Stronnictwo Demokratyczne w województwie lubelskim 1944–1975* (1998); wydawca tomu *Kampania wyborcza i wybory do Sejmu Ustawodawczego 19 stycznia 1947* (1999).